

---

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatępił śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### **Janusz Bogdan Naruszewicz – *Wspomnienia zesłańca do Kazachstanu***

Janusz Bogdan Naruszewicz, urodzony 15 kwietnia 1934 r. w Zaścianku Powoksza na Wileńszczyźnie – mój wujek po kądzieli, należy do szlacheckiego rodu pochodzącego z Wielkiego Księstwa Litewskiego, herbu Wadwicz. Jego korzenie genealogiczne sięgają marszałka litewskiego Piotra Montygierda (1451-1499), który miał trzech synów: Manka, Dowksza i Narusza, od którego pochodzi nazwisko Naruszewicz. Wnukami Piotra Montygierda byli: Naruszewicz Wojciech, którego syn Paweł był w latach 1517 starostą Nowogrodzkim, z kolei Mikołaj Naruszewicz w latach 1569-1573 piastował funkcję podskarbiego litewskiego.

W okresie rozbiorów Polski ród ten był wielokrotnie prześladowany. Dziadek Konstanty Naruszewicz, był posiadaczem majątku w Powokszy, Pietropolu i Żarnelach (obecna Białoruś). Zarządzał ponad 200 hektarami ziemi. Babcia Aurelia z domu Niedroszlańska, miała czworo dzieci: Wilhelma, który miał dwoje dzieci: Halinę i Adama. Druga córka Władysława miała, córkę Zofię. Trzecim dzieckiem była Irena, która także miała dzieci: Edmunda i Danutę, czwarty urodził się Henryk, (ojciec Janusza). Babcia Janusza po śmierci dziadka wyszła ponownie za mąż, za oficera rosyjskiego Siluginą i mieli ze sobą jeszcze czworo dzieci: Natalię, Zenonię, Tolka i Ninę.

Majątek po dziadku Konstantym Naruszewiczu został sprawiedliwie podzielony między jego dzieci, a część należąca do babci była w posiadaniu rodziny Siluginów. Każdemu z dzieci Konstantego Naruszewicza w podziale majątku przypadło po 37,5 h

ziemi. Dom rodzinny otrzymał w spadku najmłodszy syn Henryk, którego obowiązkiem było spłacenie pozostałemu rodzeństwu tego domu, by mogli wybudować na swoich ziemiach własne, nowe mieszkania.

Ojciec Janusza urodził się w 1904 r., ożenił w 1929 r. z Apolonią (1906-1988), z domu Filemonowicz, mieli pięcioro dzieci: Henrykę Irenę (1931 r.), Bogdana Janusza (1934 r.), Mirosławę (1936-2014), Mariana (1942-2009) i Teresę Czesławę (1948). Majątek Naruszewiczów w Powoższy liczył 40 hektarów dobrze zagospodarowanej ziemi.

Przeżyli szczęśliwie wojnę, dwie okupacje, niemiecka i sowiecka. Po ich zakończeniu jego rodzina nie poddała się kolektywizacji i nie skorzystała z możliwości wyjazdu do Polski. Nie chciano zostawiać ani domu, ani ziemi. Bano się wyjeżdżać w nieznane, tak jak uczynili to inni z rodziny. Bolszewicy zaliczyli ich do kułaków, wrogów ludu, w związku z czym ich majątek uległ konfiskacie na poczet państwa.

W latach 40. rozpoczęła się długotrwała gehenna Polaków, rdzennych mieszkańców Kresów Wschodnich RP, nastąpiły prześladowania, więzienia, torturowania, deportacje na Syberię. Zaczęły się także masowe zesłania na Syberię. A po wojnie w 1952 r. wywieziono rodzinę Naruszewiczów do Kazachstanu.

Maria Kalczyńska

\*

Pamiętam dokładne tę datę 18 kwietnia 1952 roku, bowiem to ona radykalnie zmieniła życie mojej rodziny. Nie przeczuwałem niczego złego. Byłem spokojny, odprężony i pełen wiary w lepsze jutro. Postanowiłem przygotować kulinarną niespodziankę mojej pani nauczycielce, która w tym dniu miała lekcje do 18:00. Bardzo lubiła kopytko, które już wcześniej robiłem. Ugotowane ziemniaki zgniotłem z mąką i rozwałkowałem. W tym czasie na patelni topiła się słonina. Nagle słyszę dzwonek u drzwi. Poszedłem otworzyć, a w drzwiach stał woźny z zakładu i oświadczył, że natychmiast mam się zgłosić do dyrektora. Pomyślałem, że chyba zrobili zebranie i będą agitować do zapisywania się do Komsomolu. Wygasilem kuchnię, odstawiłem patelnię, zostawiłem niedogotowane kopytko. Ubierając się rozmyślałem, w jaki sposób odmówić, a jednocześnie nie chciałem urazić dyrektora, któremu tak wiele zawdzięczam. Wybiegłem i po 100 m usłyszałem, że ktoś krzyczy „*ej pastoj*” zobaczyłem dwóch mężczyzn w skórzanych płaszczach, w taki sposób ubierali się komisarze. Odpowiedziałem, że śpieszę się do zakładu i próbowałem biec dalej. Oni zastąpili mi drogę, chwycili za ramiona, mówiąc, że już nie muszę tam iść, bo oni właśnie stamtąd wracają i mają mi coś do wyjaśnienia. Kazali wrócić do mieszkania. Wypytywali gdzie śpię, które to moje rzeczy, gdzie gospodyni. Zrozumiałem, że to nic dobrego nie wróży, a cała sytuacja wygląda zbyt urzędowo. Jeden z nich wyjął z teczeki pismo i zaczął czytać rozporządzenie rady ministrów Białorusi. Poinformowano mnie, że jestem z całą rodziną wyznaczony do *specpieresielenja* – deportacji. Mam prawo zabrać swoje osobiste rzeczy. Znieruchomiałem i drżącym głosem zapytałem, „co takiego złego zrobiłem, że deportujecie” usłyszałem, że jestem z rodziny kułaków, a chwasty wyrывa się razem z korzeniami – żadnych pytań, mam zabierać swoje rzeczy, dopóki są cierpliwi inaczej pójdę bez niczego. Ich cierpliwość się wyczerpała i mam ich nie denerwować.

Miałem drewnianą skrzynkę w kształcie walizki z zepsutym zamkiem, do której beładnie powkładałem swoje rzeczy i związałem sznurkiem. Kołdrę i poduszkę przewiązałem prześcieradłem na cztery rogi i zarzuciłem na ramię. Do ręki wziąłem *czemodan* – walizkę. Wychodząc oddałem klucz sąsiadce

i poprosiłem ją, aby przekazała mojej gospodyni wiadomość o deportacji i przeprosiła, że nie zdarzyłem ugotować kopytek.

Na komendzie milicji zamknięto mnie w piwnicy. Usłyszałem trzaśnięcie żelaznych drzwi i zgrzyt kluczy w zamku. Usiadłem na pryczy. Rozrzewniłem się, a w piersiach poczułem bolesne klucie. Szlochając zacząłem odmawiać różaniec, potem zawołałem głośno „Boże nie opuszczaj nas”. Przeczuwałem, że pozostali członkowie mojej rodziny przechodzą to samo. Nie myliłem się. W tym samym dniu wszystkich aresztowali. Byli u Miry, Heni z Marianem i rodziców.

W celi zrobiło się ciemno, siedziałem osłupiały i bez ruchu. Co jakiś czas wołałem „Boże nie opuszczaj, nie opuszczaj, nie opuszczaj... nas”! Jeszcze tego samego wieczora żołnierze zawieźli mnie do Wilna. Znalazłem się na głównej komendzie w budynku. Tam na I piętrze duża sala, a w niej mnóstwo rodzin, płacz i krzyk. Jedni głośno się modlili, drudzy pomstowali, inni śpiewali „Pod twą obronę”. Widok był przerażający. Dołączyłem do śpiewających. Około północy wszedł żołnierz z pepeszą, miał jedną belkę na naramiennej naszywce i głośno wymienił moje nazwisko, zakomunikował, że jest tu moja siostra. Wcześniej bowiem zobaczyłem w tym ludzkim tłumie zapłakaną Mirę z płachtą na plecach. W tej samej chwili ona zobaczyła także mnie. Przepychając się przez tłum powoli zbliżyliśmy się do siebie w milczeniu. Przywarliśmy do siebie i długo tuląc staliśmy nieruchomo, a ja głośno powiedziałem: „nie płacz – Bóg nas nie opuści”.

W milczeniu przytuleni do siebie siedzieliśmy na naszych rzeczach. Po dwóch godzinach ten sam żołnierz znowu woła: „Naruszewicz zjedź po brata!”. Patrzę i własnym oczom nie wierzę. Widzę stojącą ciężarówkę z otwartą tylną burtą w rozjeżdżonym po kostki błocie. Na górze żołnierz zrzucający bezwładnie rzeczy prosto w błoto, fruwały buty, suknie, podkoszulki, bielizna damska, kołdry. Obok w błocie stoi mój ośmioletni brat Marian, bez czapki, w Heni płaszczu, z krzywo zapiętymi guzikami. Spłakany, zastraszone, zmarznięty. Nic dziwnego, jechał 60 km na pace, w bardzo zimną kwietniową noc, w asyście uzbrojonych żołdaków. Podbiegłem do niego, mocno przytuliłem widząc, go samego zapytałem o Henie, broda mu się trzęsła, słysząc było zgrzytanie zębów, nie mógł wypowiedzieć słowa.

Poczułem szturchnięcie kolbą pepeszy i usłyszałem „*bystrej*”. Pozbierałem porzucane, obłocone i mokre rzeczy. Marian zaczął mi pomagać, ale idąc po schodach przydeptywał długi płaszcz Heni, który całkowicie utrudniał mu poruszanie się. Puściłem go przodem. Mira poprawiła mu płaszcz i przytuliła. W środku było ciepłej. Ja zacząłem związywać i układać rzeczy. Na sali większość ludzi zasypiała na siedząco, ucichło szlochanie, my też przytuliliśmy się i już w trójkę, na siedząco zasnęliśmy.

#### **Droga do miejsca zesłania**

Rano powstał szum i rumor, pojedynczo zaczęli nas rodzinami wyprowadzać i ładować na ciężarówki. Gdy przyszła nasza kolejka, dokooptowano do nas jeszcze trzy rodziny. Pod eskortą dwóch żołdaków na burcie i dwóch uzbrojonych żołnierzy w kabinie było nas jedenaście osób. Jechaliśmy ponad 3,5 godz. Zawieźli nas do Oszmiany na Białorusi. Na miejscu na rampie czekał jeszcze dwie godziny, aż wreszcie przyszło dwóch żołdaków z oficerem i kazali nam iść do wagonu. Tam byli rodzice z Tereską.

Kazano ludziom wchodzić do wagonów towarowych, w których były zakratowane okna. Otwarte były tylko z prawej strony rozsuwane drzwi. Cała lewa strona od wewnątrz była zablokowana. Znajdował się tam tylko niewielki otwór na korytko służące jako ubikacja. Zawiesiliśmy przy nim koc, aby w jako takiej intymności korzystać z potrzeb fizjologicznych. Na środku wagonu stał żelazny piecyk z palnikami u góry i rura, która wystawała za dach, obok niego leżało około 20 kg węgla i stała beczka wody. Po obu końcach drzwi były półki na wysokości 1.2 m na całą szerokość wagonu, które stanowiły „drugie piętro” do spania. Na każdej z półek miało spać po 8 osób, czyli razem 33 osoby. Aby jako tako się przespaciać było ludzką niemożliwością

Moi rodzice oraz dwie bezdzietne rodziny pozostali na podłodze wagonu, wszyscy leżeliśmy głowami do kierunku jazdy pociągu, który odjechał dopiero po południu. Nikt nie wiedział, dokąd nas wiozą, ani ile potrwa podróż. Pociąg zatrzymał się dopiero na drugi dzień w południe. Słyszeliśmy jak inne pośpieszne pociągi omijały nasz skład. Staliśmy na jakiejś dużej stacji towarowej, a zasłaniały nas z obu stron wagony towarowe. Po 30 min. rozsunięto drzwi i wszedł oficer, według listy sprawdził nazwiska i liczbę osób. Stojący na ziemi żołnierze wybrali dwie kobiety, które miały małe dzieci. Wśród nich znalazła się moja mama, dali im po dwa wiadra i rozkazali, aby poszły po wodę w asyście żołnierzy. Całą zawartość wody z wiader wlały następnie do beczki. Mama jednak została w wagonie, a tej drugiej kazano pójść z nimi. Wróciła za godzinę niosąc w jednym wiadrze zupę, bardzo rzadką z pływającymi okami oliwy. W drugim wiadrze był czarny razowy chleb, na jedną osobę wypadało po 35 g zupy i 400 g chleba. Wielką sztuką było podzielić sprawiedliwie wśród wszystkich głodnych te skromne porcje pożywienia i w dodatku zachować resztki ludzkiej godności. Była to porcja jednodobowa, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy.

Każdego dnia w porze obiadowej pociąg zatrzymywał się na dwie godziny na dużych stacjach kolejowych, ale w dalszym ciągu nie wiedzieliśmy dokąd zdążamy. Czasami ludzie, którzy byli na górnych półkach wypatrzyli jakąś stację np. Saratow, Odessa. Tylko takie mieliśmy informacje. Po tygodniu podróży najgorsze dla wszystkich były te momenty, gdy drzwi wagonu zasuвано i zamknięto na śrubę od zewnątrz. Wiedzieliśmy już, że coraz trudniej jest nam wytrzymać w tak podłych warunkach. Pomału zaczynaliśmy też tracić orientację, nie mogliśmy już spamiętać – ile tak naprawdę czasu upłynęło od wyjazdu.

Pewnego dnia mama odbierając zupę, zauważyła sporo ludzi o ciemnej karnacji, mówili niezrozumiałym dla niej językiem. Domyślaliśmy się, że to Kazachowie. Nasze przypuszczenia potwierdziły się, byliśmy na stacji Aralsk w Kazachstanie. Kiedyś udało mi się wejść na górną półkę wagonu, na długim łuku torów zdążyłem naliczyć 73. wagony. W pierwszym i ostatnim byli żołnierze, a w każdym wagonie była budka hamulcowa i stali żołnierz z bronią

Kiedyś pociąg zatrzymał się w polu, było to dla nas ogromnym zaskoczeniem, ale dla żołnierzy celowym działaniem. Przez kraty w oknach zobaczyliśmy jak w prześcieradłach żołnierze wnoszą zwłoki trzech osób. Nie wiem, dokąd zanieśli ciała, bo step był falisty i trudno było nam więcej wypatrzeć. Po 20 minutach pociąg dał sygnał i ruszył dalej. Za kilka dni sytuacja się powtórzyła, była wówczas noc, drzwi odryglowano, w sąsiednim wagonie słychać było komendy, odgłosy tupiących nóg.

Z dnia na dzień w wagonie robiło się coraz parniej, zaczęło też brakować wody w beczce. Zwróciliśmy się z prośbą o zwiększenie ilości wody, przy południowych postojach. Nasza prośba została spełniona, od tej pory mieliśmy podwojoną ilość.

### Dżambuł

3 maja 1952 roku wczesnym rankiem wagony zepchnięto na ślepy tor. Było bardzo gorąco, chyba 40° C. Pociąg zatrzymał się, a my zobaczyliśmy kilkanaście ciężarówek, które podjeżdżały pod wagony. Sprawdzono listę a potem kazano nam wsiadać do samochodów. Wjechaliśmy po wyboistej drodze około dwóch godzin, za nami unosiły się tumany pyłu i kurzu. Przywieziono nas na plac kantoru – tak nazywało się biuro kołchozu. Za nami dojechało jeszcze pięć rodzin, ktoś poinformował, że można dostać herbatę u Kazaszki stojącej blisko nas. Gotowała ją w kociołku i rozdzielała chochlą, każdy z nas zaczął biec z naczyniem, bo pragnienie było silniejsze od dumy. Nagle w wojskowym mundurze w stopniu kapitana z NKWD pojawił się żołnierz. Od razu, w cieniu, bo słońce było zbyt ostre postawiono przed nim stolik z krzesłem. Poleciał nam wszystkim się zbliżyć i poinformował po rusku, że będzie naszym opiekunem. Kazał pojedynczo podawać nazwiska i podpisywać się na liście. Jednocześnie zaznaczył, że bez jego zezwolenia nie można nikomu się oddalić poza teren kołchozu, dowiedzieliśmy się także, że zostaliśmy przywiezieni tutaj do pracy, a o ucieczce mamy nawet nie marzyć. Będziemy tutaj dożywotnio, a kto będzie pracował z głodu nie umrze. Nie ma stąd odwrotu, powinniśmy dziękować władzy radzieckiej, że daje nam szansę na życie. Zaznaczył również, że po sezonie letnim, zimą z jego tylko dobrej woli będzie dawał jednej osobie z rodziny raz o w miesiącu przepustkę po zakupy do miasteczka Pachtu-Arlaku oddalonego od kołchozu o 12 km. Ostrzegał, że gdyby, kogoś złapano bez przepustki, wówczas będzie zmuszony do zastosowania wobec niego surowej kary.

Potem głos zabrał *predsiedatiel*- przewodniczący kołchozu. Słabo mówiący po rosyjsku, dowiedzieliśmy się od niego, że jest to kołchoz imienia „Dżambuk”. Na jego terenie znajduje się ponad tysiące hektarów plantacji bawełny. Bawełna wymaga troskliwej pielęgnacji, musi być na czas spulchniona, przerywana, podlewana. Pracy jest dużo, w sezonie od maja do października będą płacić nam zaliczkowo po kilogramie mąki, za tzw. *trudodzień*. Wpłata będzie, co 10 dni.

Aktualnie na każdą rodzinę czeka przygotowane mieszkanie, do którego zostaniemy przewiezieni, jutro mamy dzień wolny na przygotowanie się do pracy, do której mamy zabrać ze sobą picie i pożywienie. W południe wydawana będzie herbata według indywidualnych potrzeb. Praca codziennie rozpoczyna się od 5.00 do 13.00, z przerwą do 16.00, a kończy o 21.00. Potem przedstawili się brygadziści, którzy mieli wybrać swoich ludzi i życzył nam dobrej współpracy.

Czekaliśmy na transport, przyjechał powóz zaprzężony w woły, które często były tam do tego celu były wykorzystywane. Chciano osiedlić nas szybko. Od kantoru wzięli nas 1,8 km. Na miejscu zajęliśmy lepiankę, która przeznaczona była dla dwóch rodzin. Od siebie oddzielała nas ściana, przedzielona osobnym wejściem. Nasze lokum to izba o wymiarach 3-3,5 m – razem 11m<sup>2</sup>. Wszystkie lepianki były identyczne i obojętne czy rodzina była duża czy mała,

każda otrzymywała jednakową. Nasza rodzina liczyła sześć osób, a za ścianą mieszkała matka z córką. Izba była wyposażona w murowaną kuchenkę z blatem o jednym otworze z fajerką, w rogu stała leżanko-prycza także murowana. W ścianie znajdowało się maleńkie okno i drzwi zbite z nieheblowanych desek. Drzwi były zamykane na skobel, a w deskach miały szpary, dach pokryty gałęziami i trzcina, od samej góry był posmarowany gliną. W porach opadów glina rozpływała się i po trzcinie spływała na klepisko, na garnki i prycze. Mieliśmy też instalację elektryczną. Na samym środku izby na kablu wisiała żarówka bez wyłączania gniazdka, za to w rogu na ścianie jeden bezpiecznik, do włączania i wyłączania. Światło włączano tylko jesienią i zimą od zmroku do godz. 23.<sup>00</sup>.

Latem w południe, temperatura powietrza wynosiła od 50-55° C, a w nocy spadała do 15° C. Wiezorami otwieraliśmy drzwi i okno, aby przewietrzyć izbę, trochę ją ochłodzić. Nad ranem zawieszaliśmy koce, aby zatrzymać trochę zimna, przeważnie brakowało jednak tlenu, a nagrzane ściany i dach robiły swoje.

Po drugiej stronie ulicy, właściwie jednej ujeżdżonej drogi, mieszkała Niemka z dwójką dzieci. W czasie wojny mieszkała w Nadwołżu, ale gdy front niemiecki zbliżał się pod Moskwę to Sowieci oczyszczali tyły z „niepewnej ludności”. W taki sposób została ona wywieziona w to okropne miejsce 10 lat wcześniej od nas.

Jako pierwsza z sąsiadek przyszła do nas, mogliśmy wreszcie porozmawiać po rosyjsku, ostrzegała nas przed wypiciem nieprzegotowanej wody, którą braliśmy z kanału. Wyjaśniała, że po przyniesieniu jej do lepianki, trzeba zostawić ją w wiadrze na 8-10 godz., musi odstać, by na dnie osiadł muł, potem można ją przegotować i po ostudzeniu pić. Od sąsiadki dostaliśmy też trochę badyli po bawełnie, do palenia, gdyż zostaliśmy przywiezieni już po okresie, gdy ludzie gromadzili zapasy opałowe. W przerwach w pracy, chodziłem z ojcem po rowach i zbieraliśmy suche badyle traw czy też końcówki zgiętej kukurydzy. Wszyscy wygnańcy zbierali zimą badyle po bawełnie, układali je w stosy robiąc w ten sposób zapasy na cały rok, oficjalnie było to zabronione, ale kto co miał koło swojej lepianki nikogo nie obchodziło. Najważniejsza zasada polegała na tym, by nie dać się złapać stróżom nocnym, którzy jeździli na koniu i pilnowali. Gdy kogoś złapali to zabierali mu wszystko. Badyle, te bowiem nie tylko dla nas były jednym z podstawowych środków do życia w kołchozie. W specjalnych suszarniach wyjmowano z nich resztki niedojrzałych kokonów bawełny.

5 maja o 5 godz. usłyszeliśmy stukanie do drzwi, to brygadzysta uderzał ręką od bata, siedział na koniu i wzywał w ten sposób do pracy. Co drugie słowo mówił po rosyjsku, był to Kazach. Mama wymówiła się od pracy tłumacząc, że jest chora i ma małe dziecko. Zabrał ojca i mnie i jeszcze innych pięciu Polaków. Dostaliśmy kekmeny, to takie duże haki. Potem nam je odliczono od zarobku, brygadzysta jechał na koniu, a my pieszo za nim w pole, które znajdowało się w odległości 4 km.

Cała plantacja podzielona była na odcinki, 1000 m długości i 250 m szerokości. Bawełna sadzona była rzędami, między kanałami do nawadniania jej, co kilometr szły równoległe kanały główne. Od nich, co 250 m mniejsze, które służyły także do nawadniania. W ten sposób powstawały kwadraty 1000 m x 250 m, które nazywano *uczastkami*. Obrazowo kwadraty te powstawały tworząc, co trzeci, siódmy czy dziesiąty, liczone kolejno – od pierwszego *uczastka*. Był to niepowtarzalny dla oczu widok.

W pierwszym dniu pracy byliśmy na czwartym *uczastku*, brygadziosta przedzielił nam po pięć rzędów każdemu 1000 m długości, pokazał jak przerywać. Mieliśmy zostawić jedną silną, albo dwie słabe sadzonki bawełny. Wokół roślin spulchnialiśmy ziemię, bo była bardzo twarda. Teraz zrozumieliśmy, dlaczego dostaliśmy takie duże kekmeje, które trzeba było mocno i głęboko wbijać je między rzędami. Brygadziosta przychodził co chwilę i pokazywał w których miejscach trzeba poprawić. Miejscowi mieli po dziesięć rzędów i byli już daleko w przed nami. W dodatku bez poprawek, wieczorem brygadziosta mierzył ile kto zrobił, ja z ojcem mieliśmy po 0,7-0,6 *trudodnia*, miejscowi 1,3-1,5 *trudodnia*. My nie mieliśmy jeszcze wprawy i doświadczenia w tej ciężkiej pracy. Po pierwszej ręcznej obróbce bawełny, jechał traktor z kultywátorem, spulchniał głęboko ziemię między rzędami, potem robił bruzdy, tzw. rajki, w które wpuszczano wodę na  $\frac{3}{4}$  wysokości rajki. Ręcznie kopaliśmy poprzeczne kanaliki pilnie obserwując, by nie zatopić roślin. Miejscami zapory puszczały, szybko, więc musieliśmy je zatykać, ogólnie teren był równy, ale zdarzały się niewielkie nierówności, do których stopniowo odcinkami nalewaliśmy wody. Trzeba było tak nawodnić, aby woda na powierzchni utrzymała się przez dwa dni, aż nasiąkła nią ziemia. Przynajmniej trzy razy podlewano, aż do zarośnięcia rajki. Bawełna jest rośliną delikatną, pracochłonną, wymagającą odpowiedniej pielęgnacji. Tak uprawiane pola dawały obfite plony, na jednym krzewie rośło ok. 40-50 kokonów, w każdym kokonie (8 sekcji), po 7-8 ziarenek obrosniętych włóknem bawełny długości 1-1,3 cm. Dojrzała bawełna stanowi piękny widok, rośnie w postaci puszystego pąka o wielkości ludzkiej pięści, pomiędzy zielonymi liśćmi wyrasta białutki puch. Bawełna dojrzewała stopniowo, ostatnie zbiory odbywały się w październiku. Trzeba było wówczas ją dosuszać, bo pora roku temu nie sprzyjała. Często padające deszcze i brak słońca zmuszały do jej wcześniejszego zrywania.

Dojrzałą bawełnę przewożono do fabryk, w celu dalszej obróbki. Ziarenka obdzierano z włókna, część przeznaczano na nasiona, część na olej bawełniany. Całkiem małą – karmiono bydło, natomiast krzewy, na których rosła przeznaczano na opał. Nic się nie marnowało. Po 5. dniach wspólnej pracy z ojcem zarobiliśmy 7. *trudodni* czyli 7 kg mąki, którą u Kazachów zamienialiśmy na 18 kg kukurydzy. Musieliśmy tak zrobić, aby przetrwać. Byliśmy w gorszej sytuacji niż pozostali mieszkańcy, bo przywiezieni zostaliśmy w maju.

Każda rodzina w kolchozie miała działkę, na której w większości sadzano kukurydze. Moja rodzina również, w drugim roku pobytu, po rozliczeniu przychodów i rozchodów w kolchozie, otrzymała działkę. Miejscowi zamieniali kukurydzę na mąkę pszenną. My zmuszeni byliśmy żyć z zaliczkowych kilogramów mąki, której było stanowczo za mało dla naszej dużej rodziny. Ciągłe towarzyszył nam przejmujący głód, jedliśmy tylko kukurydzianą kaszę na wodzie. W ciągu dnia starczało na przygotowanie tylko dwóch identycznych posiłków – rannych i wieczornych.

Do podlewania bawełny utworzono dwie zmiany. Pracowałem z ojcem codziennie po 12 godz. Boso, grzęznąc do połowy łydek w glinie. W dzień upał osłabiał cały organizm, a w nocy ochłodzenie nie przynosiło ulgi. W dodatku żołądek domagał się pożywienia. Podczas pracy na polu musieliśmy oszczędzać przegotowaną wodę, którą braliśmy z lepianki. Nic dziwnego, że po 3. miesią-

cach takiego życia, ojciec zachorował na dyzenterię – krwawa biegunka. Wielu ludzi chorowało na tę chorobę, zwłaszcza osoby starsze. Ojciec znalazł się w szpitalu, po 10. dniach został wypisany do domu. Nie było nawet, za co wykupić leków, nie wspominając o zastosowaniu zalecanej diety. Mama podawała ojcu jedynie bardziej rozrzedzoną kaszę kukurydzianą na wodzie. Po krótkim czasie nastąpił nawrót choroby z podwojoną siłą. Ojciec tracił siły. Wypożyczyłem więc w kołchozie osiołka, na którym posadziłem ojca i prowadząc zwierzę odwoziłem do szpitala. Tym razem przebywał tam 17 dni. Na szpitalnym wyżywieniu nabrał trochę sił, zatrzymano biegunkę i wypisano do domu. Sytuacja jednak powtarzała się, a choroba nasilała.

W czasie choroby ojca pracowałem na całą rodzinę, zarabiałem tylko 1,3-1,5 *trudonia*. Zostawialiśmy trochę mąki dla ojca, by mama mogła mu upiec placek czy ugotować na wodzie zacierki. Resztę zarobku wymienialiśmy na kukurydzę i dalej głodowaliśmy. Zachorowałem na tą samą chorobę co ojciec, na szczęście mój młody i silny organizm pozwolił mi niebawem wrócić do pracy. Po 5. dniach poszedłem do kantoru z podaniem o pożyczkę 50 kg mąki. *Predsiadatel*, najpierw sprawdził jak pracuję i dopiero otrzymałem 30 kg mąki, którą wymieniliśmy na kukurydzę, zostawiając część ojcu na dietę. Wcześniej mamie udało się otrzymać, w zamian za poduszkę, 3 kg kukurydzy. Ojciec słabł jednak z godziny na godzinę, marniał w oczach. Widząc naszą trudną sytuację sąsiadka Niemka, co jakiś czas z litości przynosiła dla nas trzylitrowy garnek kukurydzy, co było dla nas wielkim dobrodziejstwem z jej strony.

Gdy rozpoczął się zbiór bawełny, przeniesiono mnie do jej ładowania w kanary – worki jutowe - mieszczące od 75-80 kg. Odbywało się to tak, że na dużym klepisku rozsypywano z poprzedniego dnia zbiór bawełny. Co jakiś czas przewracano ją w celu wysuszenia. Potem w kanarach ładowano na furmanki do których zaprzęgano konie, po 22. – na każdą oraz samochody ciężarowe, po 50 kanarów. Załadowaną bawełnę przewożono do fabryki przeróbki bawełny w Pachta-Arlaku, odległego o 12 km od kołchozu. Kanary magazynowano w stogach o wysokości 5 pięter, o długości 150 m. Często wysyłano mnie do rozładowywania samochodu i wnoszenia kanarów na stogi. Najciężej było, gdy sterta była w końcowej fazie układania. Wchodziło się z ciężarem po kołyszących trampolinach zbitych z desek w zygzak. Nie zawsze docierałem do celu z ciężarem na plecach, nogi się trzęsły z wysiłku, a w gardle zasychało od gorąca i zmęczenia, ponadto w południe doskwierał upał 45-50° C, czasami się dziwiłem ile też człowiek może wytrzymać. Samochód rozładowywany był we dwóch. W czasie transportu kanary na samochodzie wiązane były linami, żeby ich nie pogubić. Jeden z ładowaczy zawsze jechał na górze.

Któregoś razu na jechałem siedząc na szczycie ułożonych kanarów, trzymając się lin. Droga była wyboista. Przejeżdżaliśmy przez kanał wodny, po jego obu stronach na drogach były duże doły. Ziemię wywożono na nasypy, samochód zjeżdżając z mostu nagle zakołysał się ściągnęło go w bok i z nasypu zaczął opadać w dół. W tym czasie trzymałem się mocno lin, a samochód upadł na bok, wtedy puściłem liny i czołgając się po ziemi zacząłem uciekać. Przed samymi moimi nogami samochód obrócił, a to, co na górze znalazło się na dole, koła samochodu obracały się w górze, a kierowca i konwojent leżeli głowami w dół. Kabina zawisała w powietrzu na wysokości konarów. Chciałem pomóc ludziom z kabiny, ale nie mogłem dostać się do drzwi, były zbyt wysoko, z wiel-



kim trudem udało się je otworzyć. Usłyszeliśmy brzęk sypiących się spod siedzenia różnych samochodowych, uderzyły o dach ciężarówki. Z całej tej opresji udało się nam jednak wyjść cało.

Od października zatrudniony byłem jako palacz w suszarni bawełny. Na opał wykorzystywane były suche badyle po bawełnie, pracując nocą miałem okazję przynieść dwie wiązki do domu. Było to wielkim ryzykiem, ale dużym zaoszczędzeniem i tak ograniczonego domowego opału.. W listopadzie na polach po zbiorze bawełny zaczynała się orka i wtedy pracowałem na polu, obsługiwałem pług, pracowałem w większości na siedząco na ramie pługa, i mimo wszystkiego regenerowałem mocno nadwyrężone siły. Operując pługiem regulowałem głębokość orki oraz na zakrętach podnosiłem lub opuszczałem pług. Prace zaczynaliśmy o 5 rano, a kończyliśmy o 23.00, w tym były dwie godzinne przerwy, po godzinie na obiad i podwieczorek. Na polu stał barak, w którym kobieta gotowała herbatę i piekła *lepioszki* na koszt kołchozu. Mogłem wreszcie najść się chleba i napić herbaty do woli. Sumienie jednak nie pozwalało mi cieszyć się takim darem, od razu przed oczami widziałem bliskich, którzy byli głodni. Próbowałem co jakiś czas myśleć, że nikt nie widzi, ukradkiem kawałki chleba wrzucałem pod bluzkę, żeby zanieść do domu. Żał mi było Tereni i coraz słabszego ojca, który prawie już nic nie mógł jeść. Pamiętam, że najmłodsza wówczas czteroletnia Terenia potrafiła czekać do północy na kawałek chleba. Gdy spała budziłem ją. Nie zapomnę jej świecących oczu i roześmianej buzi, gdy po małym kawałeczku chleba zaspakajała głód. Zdarzały się takie dni, że potrafiłem przynieść 1,5 kg małych kawałeczków. Każdy wtedy mógł zjeść po kilka. Mama dyskretnie zostawiła je po to by dać rano Tereni. Współpracownicy zauważyli, że podbieram chleb i w końcu jeden powiedział głośno „ten chleb idzie, jakby ktoś miał tu dwa brzuchy”! Poczulem mrówki na ciele, a cała twarz poczerwieniała. Obsługująca kobieta dyskretnie powiedziała mi żebym więcej się nie narażał, że ona na fajrant zawsze postara się przygotować trochę więcej chleba. Przyznałem się jej, że to dla czteroletniej siostry i umierającego ojca. Po pracy prawie codziennie wciskała mi jedną *lepioszkę* albo więcej. Było to żenujące, ale takie było życie, które polegało na walce o przetrwanie. Stąd też na zawsze owe *lepioszki* będą dla mnie niezapomnianym smakiem, który wspomagał nas przy utrzymaniu się przy życiu.

Jedno wiem, że najlepiej wychodziły one spod zwinnych rąk i palców kobiet, które z niczego potrafiły wyczarować przepyszne danie. Piekły je w piecu, gdzie w jego podniebieniu oblepiały dobrze rozrobione ciasto, w dole pieca paliły mały ogień podtrzymywany łodygami bawełny. Kiedy ciasto zaczynało się rumienić, energicznie odrywały całą powierzchnię, a następnie z drugiej strony przyklepiały cały kawał ciasta. Podczas jedzenia rwano po małym kawałku chleba.

W czasie zimy orkę pól bawełnianych przerywano. Zostałem wysłany do innej pracy. Zacząłem pracować jako ładowacz w magazynie zbożowym. Pracowaliśmy w czwórkę przy ładowaniu pszenicy w worki, które układaliśmy w samochody kołchozowe i rozwoziliśmy do młynów. Pracowałem w dużych gumowych butach, do których celowo wsypywałem pszenicę, a wcześniej wyjmowałem z nich onuce po to, by więcej ukraść zboża. Po drodze do młyna przesypywałem ziarno z butów do teczki, a na fajrant zabierałem do domu. Nic nie powinno usprawiedliwiać kradzieży, ale gdybym w tym okresie postępował

inaczej na pewno więcej osób z mojej rodziny, by odeszło. Całą nadzieję pokładaliśmy w nadejściu wiosny gdyż wtedy mieliśmy już własną działkę i nie musieliśmy mąki wymieniać na kukurydzę, bo mieliśmy i mąkę i kukurydzę.

W grudniu znowu otrzymaliśmy pomoc od rodziny z kraju, był to przekaz na 250 rubli i paczka. Przede wszystkim były w niej dla ojca biszkopty, kasza manna, dla nas wędzony boczek, makaron trochę suszonych grzybów, a na Święta Bożego Narodzenia, opłatek. Choć przez święta musiałem pójść do pracy, bo w sumie były tylko trzy dni wolnego w roku (1 stycznia, 1maja i 7 października). To były dla nas dni uroczyste i odmienne od koszmarnej codzienności wypełnionej pracą ponad siły.

Wigilia. Mama upiekła bułeczki z mąki razowej – przesianej przez drobne sito, ugotowała barszcz z grzybkami. Wróciłem z pracy i usiedliśmy do uroczystej wieczerzy. Łamaliśmy się opłatkiem od Heni i ze łzami w oczach składaliśmy sobie życzenia doczekania w zdrowiu powrotu do kraju. Ojciec głośno rozplakał się mówiąc, żeby tylko doszedł do sił to ucieknie i dojdzie do kolei pieszo, a tam towarowymi wagonami dotrze do kraju, aby zostawić swoje kości na ojczystej ziemi, bo tu boi się nawet zginąć, ale los pokierował jednak inaczej.

Była to ostatnia wigilia w jego życiu dołączył do kilkudziesięciu tysięcy ofiar Syberii. Był ofiarą systemu komunistycznego, zmarł w wieku 49 lat, 14 marca 1953 r. Przedtem nigdy nie chorował mógł żyć jeszcze przez długie lata, nie tylko dla siebie, ale przede wszystkim dla rodziny. Zemsta za odmówienie kolektywizacji ziściła się, a słowa wypowiedziane przez organizatora kołchozów – *pożalejesz*, spełniły się dzięki zbrodniczemu systemowi. Stopniowo po trupach do władzy za wszelką cenę.

Ojciec zmarł rano. Kantor był czynny dopiero od 22 nie miałem wyjścia, musiałem czekać, chciałem załatwić deski na trumnę, nie mogłem dopuścić do tego, by ojca pochować w prześcieradle wg. tradycji. Wieczorem z podaniem udałem się do kantoru, *predsiedatel* był zdziwiony, że chcę dla ojca trumnę. Po usilnych próbach i wytłumaczeniu, że od pradziadków tak chowamy zmarłych, wyraził zgodę na wydanie desek. Dostałem 2 metrowe i 12 desek o szerokości 30cm.

W kołchozie był warsztat mechaniczno-stolarski, w którym pracował jeden człowiek od wszystkiego. Pobiegłem do niego aby poprosić o zrobienie trumny, ale on nie wiedział jak ona wygląda. Szybko narysowałem kształt dwóch połówek pasujących do siebie. Zgodził się, odetchnąłem z ulgą, na drugi dzień razem zrobiliśmy trumnę. Znalazłem dwu i pół metrową rurkę, którą uciąłem, na ramieniu przyniosłem do warsztatu, pospawałem i z niej zrobiłem krzyż.

W nocy mama z dziećmi spała na pryczy, a ja z nieboszczykiem na leżance. Pilnowałem świeczki, by w czasie, gdy się wypali wymienić na następną. Bardzo się śpieszyłem z pochowaniem ojca, gdyż z końcem marca temperatura sięgała powyżej 25° C, a izba mała i tyle w niej było osób. Sąsiedzi wykopali dół, obok innych zmarłych. Wieczorem dostałem furmana, włożyliśmy trumnę na wóz i w towarzystwie około 50 ludzi odprawiliśmy ojca w ostatnią drogę. Pochowaliśmy kochającego ojca na dalekiej obczyźnie, z dala od rodzinnej ziemi. Był kolejną ofiarą okrutnego systemu.

Doczekaliśmy się w kołchozie rocznego rozliczenia za pracę ojca i moją. Ojcu za okres 3 miesiące obliczyli 110 *trudodni*, a mnie za 8 miesięcy 250 *trudo-*

dni, co dało razem 360. Wyszło po 3 ruble na *trudodzień*. Obliczono zaliczkę, którą brałem w sezonie tj. 300 kg mąki pszennej kosztowała po cenie państwowej 2,50 rubla, razem z ojcem zarobiliśmy 330 rubli. Po odciążeniu długu pomyślałem wówczas, że jako początkujący tokarz rok temu za miesiąc pracy zarobiłem więcej niż tutaj za 11 miesięcy. Pod koniec marca dostaliśmy upragnioną działkę. Była ona dla nas furtką do przetrwania. Skopałem ją, przygotowując do sadzenia kukurydzy i warzyw. Za otrzymane ruble kupiliśmy Mirce i Marianowi buty do szkoły, mnie gumowce, a mamie kwokę-kurę i 20 jajek do nasadzenia.

Na początku kwietnia wysłali mnie na stopy do kołchozowej fermy owiec w celu wyczyszczenia i pogłębienia studni. Ferma ta odległa była 320 km od kołchozu. Jechaliśmy na wielbłądach, był to jedyny środek transportu, którym można było tam dotrzeć. Wieźliśmy ze sobą zapasy mąki, soli, herbaty, nafty i zapalek, wśród nas był doświadczony przewodnik, majster - specjalista od pogłębiania studni. Do dyspozycji mieliśmy 5 wielbłądów, po 4 dniach morderczej podróży zobaczyłem 4 jurty pokryte filcem z wełny wielbłądziej o średnicy 5 m, w środku okrągłe ściany zbite z listew tworzyły szachownice. Jurty były wysokie na 2 m, w kształcie stożka na samej górze, w środku miały otwór o średnicy 1 m, który służył do ulatniania się dymu. W środku jurty znajdowało się małe palenisko otoczone kamieniami. Gotowano na nim w żeliwnych dzbankach z lejkiem i uchwytem wodę na herbatę. Wokół paleniska siedzieli biesiadnicy i pili herbatę z *pijałek* (filizanek bez ucha). Podczas picia herbaty panowała tajemnicza atmosfera, a wśród pijących wyczuwało się, że dla biesiadujących jest ona czymś wyjątkowym. Rytuał picia trwał przez trzy godziny w trakcie, których wszyscy pijący delektowali się napojem. Do esencji - zielonej chińskiej herbaty dolewali gotującą wodę do połowy filizanki, by nie zdążyła ostygnąć przed wypiciem. Picie takiej herbaty gasiło pragnienie.

Farma liczyła ok. 500-600 owiec, parę wielbłądów, koni, psów. Owce pasły się same i raz na dobę po południu przychodziły do wodopoju. Wtedy zaganiano je do zagrody, pojedynczo przez wąskie przejście liczone były przy wypuszczaniu, a te, które dawały mleko zapędzano do innej zagrody. Przy owcach pracowało 6 mężczyzn. Każdego ranka jeden z nich wyjeżdżał konno w step z psami i sprawdzał gdzie są owce w tym czasie. Troje z nich napełniało koryto z wodą, do tego celu służył im worek ze skóry wielbłąda, mieścił on około 50 litrów wody. Worek przywiązany był do liny i przechodził przez kołowrotek, a drugi koniec do wielbłąda, na głębokość studni. Stojący przy studni wielbłąd służył do pracy. Wypełniony worek był sygnałem dla człowieka, aby pogonić wielbłąda, ten biegnąc wydobywał na wierzch całą zawartość. Dwoje czekających ludzi chwyciło za worek i przelewało wodę go do koryta.

Studnia znajdowała się w najgłębszym dole i miała ponad 100 m głębokości z długim korytem. Specjalista wchodził do worka, opuszczaliśmy go w dół studni, tam worek napełniał ziemią i dawał znak błyskiem latarki, wyciągaliśmy i wypróżnialiśmy zawartość worka. Wnętrze studni obudowane było klockami z twardego drewna, te które było przegniłe, musieliśmy je wymienić na nowe. Raz w roku przeprowadzony był taki remont studni. Byliśmy tam przez 3 tygodnie, majster się nie spieszył nikogo nie poganiał. Wszyscy byliśmy zadowoleni, bo praca nie była ciężka, a jedzenie dostawaliśmy dość dobre. Po powrocie od studni kolacja zawsze była gotowa i za każdym razem jedliśmy baranie mięso, tzw. *łapsze*. Codziennie mężczyźni zabijali dużego barana,

a w protokole pisali, że padł. Raz w miesiącu przyjeżdżał na fermę weterynarz i podpisywał taki protokół, a oni śmiali się między sobą, że niejednokrotnie ta sama głowa owcy wisi przez 3 miesiące. Ich obowiązkiem było każdą niby padniętą owcę pokazać jako dowód. Odcinali, więc głowę od tułowia. Wysoka temperatura w krótkim czasie wysuszała powieszoną głowę. Weterynarz miał dowód i protokół, a mężczyźni pożywienie.

Z zabitej owcy gotowali *lapszę*. Najpierw obdzierano skórę ze zwierzęcia, potem rozdzierano ją przez środek wzdłuż całego tułowia, wyjmowano i wyrzucano wnętrzności, mięso cięto na kawałki, które wrzucano do żeliwnego kotła. Po ugotowaniu i obraniu mięsa od kości można było je dalej przygotowywać. W tym czasie do rosółu wrzucano makaron łazankowy, po ugotowaniu wrzucano obrane mięso i *lapsza* była gotowa do spożycia.

Mężczyźni siedzieli w kole po turecku, kobieta z dzbankiem i miską wody podchodziła do każdego, polewała wodą ręce. Na ramieniu miała przewieszoną ściereczkę, która służyła do wycierania rąk. Inna - dużą chochlą nabierała z kotła *lapszę* i już przestudzoną podsuwała każdemu jedzącemu. Wszyscy mężczyźni zanurzali prawą rękę w misie szukając odpowiednio dużych kawałków mięsa. Ja jako jedyny - *szoszkojad* tj. świnojad stanowiłem dla muzułmanów w tym gronie osobę według nich trefną, wobec tego dostawałem jedzenie w osobnym naczyniu. Mogłem jeść łyżką w ten dla mnie ludzki i naturalny sposób. W ciągu tych trzech tygodni przebywania na stepach wykonywałem lekką pracę, spożywałem treściwe posiłki. Poczułem, że nabrałem nowych sił. Praca dobiegła jednak końca i trzeba było wracać. Muzułmanie zaopatrzyli nas w owczy ser, który był bardzo smaczny i pożywny.

Po powrocie, w maju zaczęły się sianokosy, wysłano mnie wówczas do innej fermy, odległej o 90 km. Na trasie, 40 km trzeba było przejść pustynię. Pocieszeniem był fakt, że w pobliżu płynął kanał wodny z rzeki Symurdarja, który prowadził wodę do wszystkich kolchozów posiadających plantacje bawełny. Na miejsce zawieziono mnie i Heńka - Polaka samochodem ciężarowym. Zastaliśmy tam już zgrabione kupki siana, nasza praca polegała na podawaniu ich na wóz. Nikt nie chciał wykonywać tej pracy, szybko zorientowaliśmy się dlaczego. Co druga lub trzecia kupka była z lokatorami i to jakimi, mianowicie gnieździły się w nich jadowite żmije, które w cieniu kupek chroniły się przed piekącym słońcem. Były ich ogromne ilości, istna plaga, gromadziły się tam gdyż w nocy żerowały w płynącym w pobliżu kanale wodnym. Po uniesieniu kupki siana widłami, zaskoczona żmija nie ruszała się, wtedy energicznym i zdecydowanym ruchem wideł trzeba było przycisnąć ją mocno w pobliżu głowy oraz ostrożnie i silnie rozgnieść piętą. Pomimo upałów musieliśmy mieć koniecznie ubranie na sobie. Dostaliśmy także gumowe buty, dziennie każdy z nas potrafił zabić do 150 sztuk żmij. Po całym dniu wieczorem, gdy zamykałem oczy widziałem tylko wijące się żmije. Najgorzej i najniebezpieczniej było, wtedy gdy razem z sianem na widłach unosiło się kopiec, a z niego gady spadały prosto pod nogi. Były rozdrażnione i trudniej było je zabić. Po 3 tygodniach pracy w ciągłym napięciu, mieliśmy jej dość. W dodatku do jedzenia mieliśmy tylko chleb i herbatę, i to w niedużych ilościach, aby zaspokoić i oszukać żołądek. Co prawda na polu stało kwaśne mleko owcze, którego nie dało się jednak pić, było bardzo gorące.

Heniek zaczął namawiać mnie do ucieczki. Decyzji sprzyjał upał dochodzący do 50° C, obrzydliwe i niebezpieczne gady, przebywanie przez cały dzień w gumowcach, codzienna pobudka o 5 godzinie i praca do zachodu słońca. Zaplanowaliśmy ucieczkę w nocy, gdy wszyscy zmęczeni głośno chrapali, musieliśmy wcześniej zorganizować trochę chleba i chociaż po butelce wody. Po godzinie 24, po cichu wyślizgnęliśmy się z obozu i patrząc na gwiazdy obraliśmy kierunek południowo-wschodni. Pojawił się księżyc było łatwiej iść, musieliśmy pokonać jak najdłuższy odcinek drogi póki było chłodno, aby przez pustynię nie iść w dzień. Po 3 godzinach marszu zobaczyliśmy stóg siana, przypomniałem go sobie gdy jechaliśmy do pracy na fermę.

Teraz wiedzieliśmy już, że idziemy w dobrym kierunku, ale musimy lekko odbić w prawo. Mijając stóg, zmęczony poprosiłem Henia abyśmy choć na chwilę przy nim usiedli. Kaptcie, które miałem na nogach rozlatywały się, stopy wychodziły na zewnątrz. Chciałem je przywiązać chusteczką zajęty kaptami usłyszałem jak Heniek krzyknął – chowajmy się ktoś jedzie konno – zobaczyliśmy dwóch jeźdźców. Mogła to być pogoń, na wszelki wypadek zakopaliśmy się w stogu. Jeden z jeźdźców objechał wokół stóg i krzyknął po kazachsku tu ich nie ma, po czym odjechali. Byliśmy przekonani, że to nas szukają. Nie mogliśmy iść na razie dalej, bo złapaliby nas w czystym stepie. Wydedukowaliśmy, że będą na pewno wracać, gdy nas nie znajdą. Jeszcze głębiej zakopaliśmy się w sianie, a słońce było już dość wysoko. Faktycznie wrócili i akurat postanowili odpocząć przy naszym stogu, siedzieliśmy cicho prawie nie oddychając. Wiedzieliśmy, że gdyby nas znaleźli nie mielibyśmy żadnych szans. Kazachowie to silni mieszkańcy azjatyckich stepów. W końcu się oddalili, a my spoceni, zgrzani i mokrzy ze strachu mogliśmy wyjść na zewnątrz. W ten sposób zmarnowaliśmy dużo cennego czasu, słońce już grzało, straciliśmy także dużo płynu w organizmie, a na pustyni każda kropla wody jest bardzo cenna. Słońce stało coraz wyżej, w powietrzu żadnego wiatorku, chciało nam się bardzo pić. To co mieliśmy trzeba było oszczędzać. Przed nami było jeszcze 20 km bezludnego terenu, z koszuli zrobiłem turban na głowę. Temperatura wzrastała bardzo szybko, pół łyka ciepłej wody długo trzymałem w ustach, nie rozmawialiśmy aby nie tracić niepotrzebnie energii - zupełne milczenie. Jedyna nie odparta myśl to, aby starczyło sił do jakiegoś zaludnionego miejsca. Po jakimś czasie zaczął ogarniać mnie strach i przerażenie, gorący piasek wsypywał się do kapti i ten nasilający się upał, z trudem przesuwiałem powieki. Oczy piekły czułem, że coraz trudniej patrzeć. Całą siłę skupiałem na nogach, wreszcie ulga, Heniek chrapiącym głosem szepcze: widzę jurte. Ja jej nie widziałem, widocznie Heniek był silniejszy ode mnie. Nagle poczułem, że nie mogę już iść dalej, nie mogę za nim zdążyć, przeraźliwie bałem się zostać sam.

Wypiłem ostatni łyk wody, w piersiach zaczęło piec, widzę też jurte, ale jakby stanęła w miejscu. A my przecież idziemy, widzę, że ktoś idzie do nas, to mieszkaniec jurty. Widząc nas z daleka wiedział co nam potrzeba. Niósł dzbanek wody i szedł na spotkanie. Dostałem na początek tylko 5 łyków, potem Henio, później polał nas po turbanach. Myślę szkoda wody, lepiej wypić. A on po chwili znowu daje nam po 6 łyków i zabiera dzban. Od razu w oczach pojaśniało, tylko jakieś ogromne pieczenie, resztę wody wylał nam na głowy i kazał iść za sobą. Zaprowadził nas do swojego domu – jurty.

W środku jurty znajdowało się sześć osób: dwie kobiety, troje dzieci: trzynastoletni chłopiec, dziesięcioletnia dziewczynka i roczny chłopczyk; usiedliśmy po turecku jak gospodarz, który wziął małego na kolana od młodszej kobiety, a ona w tym czasie bez słowa nalewała nam gorącą herbatę do *pijałek*. Piliśmy ostrożnie, małymi łydkami. Gospodarz cały czas zachęcał nas do picia ciągle uzupełnianej esencji gorącą wodą. Później podano nam *lepioszki*. Przez cały czas na ogniu stały trzy garnki z wodą, puste wymieniono na pełne. Pot spływał po nas ciurkiem, a koszule były mokre. Gospodarz spytał nas, dokąd zmierzamy? Wymieniliśmy kołchoz „Dżambukł”, i pobliskie miasteczko Pachta-Arłak. Twierdząco pokiwał głową i powiedział, że przed nami jeszcze 50 km. Piliśmy i jedliśmy około trzech godzin. Słońce było już popołudniowe, kiedy zaczęliśmy czuć powracające w nas siły.. Poprosiliśmy o wodę do naszych butelek, nalano nam do połowy butelki esencji, a resztę uzupełniono wodą. Wyjąłem pieniądze chcąc zapłacić, ale muzułmanin unosząc ręce w górę, i kręcąc głową nie wziął nic. Wszyscy podnieśliśmy się ze słowami – Allahum i Salum Malejkum - podając sobie ręce. Kobieta na drogę dała jeszcze *lepioskę*, a mężczyzna wyciągnął do nas obie ręce wypowiadając Allahum (z bogiem). Jak można zapomnieć takich ludzi...?

Może 3 km od jurty biegł kanał wodny. Jedno z odgałęzień, ułatwiło nam iść na skrót. Idąc wzdłuż kanału było łatwiej. W sumie przez step szliśmy 36 km, a wzdłuż kanału – 80 km. Droga był miejscami ujeżdżona, moczyliśmy w wodzie koszule, chłodząc się w ten sposób. Szybko rozleciały się nam kapcie, szedłem dalej boso, dobrze, że ziemia była mniej gorąca. Słońce coraz niżej, szliśmy przed siebie nie bacząc na zmęczenie. W jednym ze sklepów kupiliśmy po 2 oranżady, kilo cukierków – poduszczek z marmoladą w środku.

Cukier krzepił zmęczony organizm, szliśmy do wieczora i przez całą noc, co kilka godzin siadaliśmy na 15 minut. Po takim odpoczynku ciężko było wstawać. Kiedy słońce zaczynało już wschodzić byliśmy blisko dotarcia do celu. Kiedy doszliśmy spałem dzień i noc. Po obudzeniu się nie mogłem stanąć na nogi, bolały okropnie chyba miałem zapalenie mięśni, przez kolejne 3 dni nie mogłem zrobić kroku. Przez tydzień nie zgłaszałem się do pracy, w końcu dowiedziano się o tym w kantorze. Wpadł wówczas wściekły brygadzysta i niby podając mi rękę chwycił za ramię, a drugą uderzył mnie w plecy. Mama widząc to podbiegła do siedzącego na koniu brygadzisty i chwyciła za bat, a ja w tym momencie uciekłem do wysokiej kukurydzy.

Pojechał konno za mną, ale nie mógł mnie znaleźć, byłem w lepszej sytuacji, bo słyszałem stąpanie konia. Mogłem się chować, a mama cały czas biegła za nim. Wiedziałem, że gdyby mnie znalazł broniliby. W końcu zrezygnował i odjechał. Ja pobiegłem do *predsiedatiela* do domu na skargę mówiąc, że mnie pobił i nie będę u niego pracować. Heniek już wcześniej powiedział mi, dlaczego uciekliśmy z fermi. Kazał wieczorem przyjść do kantoru, zebrali się wszyscy brygadziści na, tzw. *dyspieczkę* – na naradę. Dyskutowano o mojej sprawie, potem dowiedziałem się, że rano na 5 godzinę mam się zgłosić do stajni. Zacząłem pracować w transporcie, rano nowy brygadzysta dał mi dwa konie, uprząż, wóz, bat, 1,5 kg kukurydzy dla koni, wysłał mnie do zwożenia siana w stogi. Potem miałem wypuścić konie, a o 16 godz. otrzymałem drugą parę koni.

Pracowałem wówczas jako furman, w czasie zbioru bawełny wywoziłem kanary bawełny do Pachta-Araku. Doskonale pamiętam jak była to ciężka i niebezpieczna praca. Dodatkowo jeszcze o 21 godzinie jechałem na pole po kobiety zbierające bawełnę. Dowoziłem je na punkt, tam warzono bawełnę i naliczano *trudodni*. Zwożenie zbiorów i kobiet przeważnie kończyło się około godziny 24, musiałem potem jeszcze odstawić konie do stajni. Najczęściej w domu byłem o pierwszej w nocy, a o 5 rano zaczynał się nowy dzień pracy. Za dniówkę miałem policzone 2,7- 2,8 *trudodnia*, a co dziesięć dni pobierałem zaliczkę 27-29 kg mąki. Pracując w polu miałem o połowę mniej. Mimo trudnych warunków byłem zahartowany i w dobrej kondycji zdrowotnej. Te atrybuty pozwoliły mi to wszystko wytrzymać i pracować ciężko na utrzymanie rodziny. Mira po ukończeniu VII klasy poszła też do pracy, zbierała bawełnę.

Uprawialiśmy też kukurydzę, która rosła na naszej działce. Mama w nocy ją podlewała inni robili to samo. Kiedy przyszedł przekaz pieniężny od Heni, mama przede wszystkim kupiła prosiaka i trochę niezbędnych rzeczy do ubioru, bo już nie mieliśmy w czym chodzić. Ja musiałem postawić jakiś chlewik dla prosiaka i kur, ale nie miałem materiałów. Musiałem sobie radzić, upatrzyłem słup z podporą od linii elektrycznej, sytuacja zmusiła mnie do jego kradzieży. Całe szczęście, że byliśmy w Kazachstanie tylko 5 lat, bo w przeciwnym razie zostałbym nałogowym złodziejem. Chciałem żyć, dlatego sięgałem po nie swoje. Kradłem wędkę żeby łowić ryby. Zjadałem łowione ryby, bo byłem głodny.

Na wymurowanym chlewiku wg. długości podpory słupa, którą ułożyłem na środku zbudowałem daszek ze stożkowymi szczytami. W środku przedzieliłem pomieszczenie na dwie strony, z gałęzi i kukurydzianych badyli zrobiłem dach. Wierzch zasmarowałem gliną. Chlewik był dość długi, z jednej strony był świniak z drugiej strony kury, a później koza. Moim marzeniem było, żeby na długość domu wybudować werandę. Zacząłem pomału formować cegły i je suszyć.

Kończył się sezon zbioru bawełny, dostałem zlecenie na wożenie desek z Pachta-Araku do magazynu w kołchozie. Deski układane były jedne na drugiej, ale o zróżnicowanej długości, na kwiecie musiały zgadzać się sztuki. Jesienią szybko robiło się ciemno nie byłem tak widoczny, obcinałem najdłuższe deski. Cztery sztuki wrzuciłem do rowu, po pracy znosiłem je i chowałem w chlewisku. Nagromadziłem ich tyle, że starczyło na dach, drzwi i stół. Wiosną wymurowałem werandę. W jednym szczycie zrobiłem drzwi, w drugim na propek zbudowałem pryczę odtąd spałem z bratem.

Świniak, gdy miał około 100 kg nadawał się do zabicia. Z dzieciństwa pamiętam jak bije się świnie. Co innego jest wiedzieć, a co innego to zrobić. Przy zabijaniu świni pomagała mi mama. Trzymała przednią nogę świni, i przygniatała swoim ciężarem głowę. Miałem ostry nóż i silnym pchnięciem musiałem trafić w serce świni. Udało się za pierwszym razem. Świniak ucichł, a z rany trysnęła krew do podstawionej misy. Byłem dumny z siebie, że przebiłem serce bez zbędnego męczenia przerażonej świni. Za tylne nogi powiesiłem świniaka na belce, w chlewie można było spokojnie parzyć sierść. Och! Co to było za świniobicie? Wysmażone duże skwarki spod gardła jedliśmy z chlebem. Wszystkim, aż uszy się trzęsły, można było nareszcie najeść się do syta. Słoninę i sadło mama przetopiała na smalec i włożyła do słoików. Już wcześniej kupowaliśmy artykuły, aby zdobyć słoiki do zapraw. Mięso oddzielone od kości w ka-

wałkach obtaczała w soli, wkładała je do specjalnie uszytych woreczków z płótna, które z wierzchu też były posypane solą. Woreczki były szczelnie związane i powieszono we właściwym miejscu. Sposób zaczerpnięty był od miejscowych. Sól występująca z worków uszczelniała dokładnie dostęp powietrza, a na zewnątrz powstawała biała skorupa. W takim stanie mięso mogło wisieć miesiącami. Przed spożyciem należało je tylko mocno wymoczyć, a otwarty woreczek w krótkim okresie trzeba było zużyć. Kości z marynaty spożywane były pierwsze. Nie można było niczego zmarnować. Krojone podroby mama wkładała do żołądka zaszywała i w całości jeszcze raz gotowała, później przyciskała deską obciążając kamieniem. Było to pyszne. Na brak apetytu nikt nie narzekał, nie daliśmy nic zmarnować. Na wiosnę kupiliśmy skórę, a latem nowego prosiaka. Dorobiliśmy się 50 kur. Jajka, mama sprzedawała na bazarze kupcom z Taszkientu, po rublu za sztukę. To się opłacało. Z działki zebrałem wiele kolb kukurydzy. Chyba 1.500 kg. Powieszono na słońcu, po tygodniu łatwo się łuskały, starczało dla świń i kurek. Za ześrutowane ziarno płaciło się 1/10 miary lub wagi. Zaczęliśmy stawać na nogi, szkoda, że ojciec tego nie doczekał!

Rok 1954 dla kołchozu był rokiem nie urodzajnym, wszyscy to odczuliśmy. Każdy z nas bezpośrednio przepracował 361 dni, czyli 620 *trudodni*. Nasz kołchoz wykonał plan tylko w 75%, co oznaczało, że zgodnie z decyzją zarządu pracownikom obcięto 25% *trudodni*. Powiedziano nam, że źle pracowaliśmy. Obcięli mi 154 *trudodni*, choć do rozliczenia miałem 466. Taki plan to i małe pieniądze. Na 1 *trudodzień* wynosiło 2,85 rubla x 466 = 1328 rubli. Jeszcze w okresie sezonu od maja do września zaliczkowo obierałem 410 kg mąki po cenie państwowej 2,5 rubla za kg wyniosło to 984 ruble, do wyrównania zostało 344 rubli.

W pierwszym roku naszego pobytu głodowaliśmy, dlatego też aby przeżyć sprzedawaliśmy co się tylko dało. Pamiętam jak do pracy nie raz szedłem głodny. Obecna sytuacja była niczym w porównaniu z tym, co już mieliśmy za sobą.

Kiedy jeździłem do Pachta - Araku przeczytałem na ogłoszeniu, że jest pobór do szkoły na roczny kurs przyuczenia do zawodu traktorzysty - kombajnisty i innych maszyn rolniczych. Wymagane dokumenty to: zaświadczenie z pracy miejsca zamieszkania i świadectwo ukończenia VII klasy. Przewidziane było stypendium w wysokości 250 rubli miesięcznie dla dobrze uczących się oraz internat z wyżywieniem, umundurowanie. Było to dużo więcej, niż ciężko wypracowane zarobki w kołchozie.

### Zaproszenie do Polski

W tym samym czasie, latem w czwartym roku pobytu na zsyłce, z ambasadą w Moskwie przyszło zaproszenie od mamy brata Juliana Filemonowicza mieszkającego w Międzyborzu w Polsce na przyjazd do kraju. Dostaliśmy dokumenty umożliwiające staranie się o taki wyjazd. Cóż za cudowny zbieg okoliczności pomyślałem sobie, trzeba działać i korzystać z takiej możliwości. Wziąłem ręcznie napisane przeze mnie podanie w dwóch egzemplarzach i udałem do kołchozu. *Predsedatel* przyjmując urzędowe pismo z Moskwy poczuł wyraźny respekt, przeczytał i zaczął mówić: „Chcesz jechać do Polski, kiedy u nas demokracja, a tam dopiero ona powstaje dzięki pomocy ZSRR”. Zaczę-



łem udawać, że ja i Mira nie pojedziemy, ale mama z dziećmi niech sobie jedzie do brata. Chodziło mi tylko, aby podpisał dokumenty, bo to może być jedyna i ostatnia okazja do wyjazdu. Podsunąłem podwójne dokumenty mówiąc, że przygotowałem je wcześniej by nie zajmować czasu na pisanie. Spojrzał tylko i podpisał, przybił pieczętkę, a ja szybko mówiąc, że jedno – do Moskwy, a drugie – do Polski podziękowałem i odszedłem.



Autor odbył roczny kurs mechanizatorów rolnictwa;  
tu w mundurze galowym. Kazachstan Pachta-Arał (1956)

Tak samo zrobiłem w gminie, tj. w sielsowiecie. Urzędnik zachował się podobnie jak *predsiedatiel*. Mówiłem, że niech matka z dziećmi jedzie, a ja zostanę. Był trochę zdziwiony, ale podpisał na obu dokumentach. Posunąłem się

w tej sprawie nie tylko do kłamstwa, ale jeszcze dalej. W domu dopisałem (tym samym długopisem): wydaje się w celu przyuczenia do zawodu w szkole Pachta-Arak. Pierwsze pismo wysłałem poleconym listem do Moskwy, a powtórnie razem z podaniem życiorysem i świadectwem szkoły zawiozłem do dyrektora. Był to już ostatni moment naboru uczniów, mamie powiedziałem, że gdy przyjdzie brygadzysta ma powiedzieć, że zachorowałem i jestem w szpitalu.

W szkole otrzymałem dopasowany mundur, bieliznę, pościel i przybory warsztatowe. Mieszkałem w internacie w trzyosobowym pokoju. Każdy z nas był innej narodowości: Kazach, Rosjanin i Polak. Do szkoły chodziliśmy umundurowani, dostałem używane podręczniki, które należały do szkoły. Jedyne co musiałem sobie kupić, to osiem zeszytów - oddzielne do każdego przedmiotu. Zajęcia szkolne były po 8 godzin dziennie, od poniedziałku do czwartku. W piątki i soboty były warsztaty, po osiem godzin. Od 4 lat miałem po raz pierwszy wolną niedzielę. Większość z nas na niedzielę wyjeżdżała do domów, ja zostawałem, bo bałem się wracać do kołchozu. Wówczas też w stołówce szkolnej było dużo jedzenia i można było dostać podwójne porcje. Wyjeżdżałem z internatu raz w miesiącu aby podpisać listę obecności w sielsowiecie u kapitana NKWD. Oceny miałem dobre i bardzo dobre. Starłem się, aby otrzymać stypendium, z którego 150 rubli wysyłałem do domu. Mira nadal pracowała w kołchozie. Marian chodził do V klasy, a Terenia do pierwszej. Na wigilię i pierwszy dzień świąt pojechałem do rodziny. Zabiłem drugiego świniaka. Łamiąc się opłatkiem życzyliśmy sobie żeby w tym gronie przyszłe Święta Bożego Narodzenia być już w Polsce.

Brygadzysta z kołchozu nachodził mamę i dopytywał się co ze mną, kłamała że źle i przewieziono mnie do szpitala. Musiałem uważać, aby nikt z sąsiadów mnie nie zobaczył. Był luty i upłynęło pięć miesięcy mojej nauki. Słońce świeciło, było ciepło, zwolniłem się na godzinę z warsztatów, żeby zrobić zakupy. Po południu zamierzałem pojechać do domu, idąc ulicą w mundurze szkolnym w ostatniej chwili zauważyłem przewodniczącego i księgowego. Szliśmy naprzeciw siebie wycofać się było za późno, powiedziałem dzień dobry i chciałem ich minąć. Usłyszałem wtedy pytanie, co ja tu robię? Odpowiedziałem grzecznie: uczę się na traktorzystę żeby z furmanki w kołchozie przejść na traktor. Zdenerwowany *predsiedatiel* nie mógł zrozumieć kto mi pozwolił na naukę. Kazał zaprowadzić do dyrektora. Nie miałem wyjścia. W gabinecie dyrektora przewodniczący krzykiem chciał się dowiedzieć, jakim prawem Naruszewicz korzysta z nauki. Opanowany dyrektor najpierw chciał wiedzieć, z kim ma przyjemność rozmawiać. Kiedy dowiedział się, że z przewodniczącym kołchozu, to spokojnie podszedł do szafy, wziął teczkę z dokumentami i pokazał wpięte zaświadczenie z kołchozu. Wtedy okazało się, że pieczęć i podpis należą do przewodniczącego. *Predsiedatiel* nie mógł zrozumieć jak to się stało, skoro podpisał pismo, które miało być wysłane do Moskwy. Dyrektor powiedział, że nie do Moskwy, ale do Pachta-Araku. Było bowiem wyraźnie napisane: wydaje się w celu przyuczenia zawodu.

Stanowczym i zdecydowanym głosem dyrektor uświadomił przewodniczącego kołchozu, że ta szkoła przygotowuje kadry do pracy na celinach – stepach nowo zagospodarowanych do obsiewania pszenicą. Szkoła ustanowiona jest przez radę najwyższą a on wyznaczony jest do jej prowadzenia. Wszystko co robi jest zgodne z prawem. zaproponował przy tym spotkanie w komitecie

powiatowym, gdzie będzie się dochodzić prawdy. Po tych słowach dyrektor nagle zwrócił się do mnie ostro: a ty czego nie na warsztacie, biegiem na praktykę! przebierz się, marsz! W ciągu pięciu minut byłem na warsztatach. Wykładowcy powiedzieli, że podpadłem na przepustce dyrektorowi.

Nie wiem jak dalej potoczyła się rozmowa w gabinecie, po godzinie dyrektor zjawił się w warsztacie zapytał mnie na osobności jak to było naprawdę? Powiedziałem że faktycznie podałem dwa zaświadczenia do podpisu, a jedno z nich wysłałem do ambasady. Nie jestem pewien czy przewodniczący wiedział do jakiego celu są przeznaczone. Podałem je przygotowane, by nie zajmować przewodniczącemu czasu. Widzę – odpowiedział, dyrektor, że kombinowałeś żeby się tu dostać? Z lekkim uśmiechem odszedł.

Od tej pory nie musiałem ukrywać się i co drugą niedzielę jeździłem do domu, za każdym razem przywoziłem czarny żytni chleb, którego kilogram kosztował 2,5 rubla. Opłacało się, do internatu przywoziłem słoik smalcu. Rosjanin i ja jedliśmy ze smakiem. W czerwcu przysły dokumenty pozwalające na wyjazd do Polski. Radość ogromna, ale skąd wziąć pieniądze. Ktoś nam powiedział, że przecież mamy obligacje, przeszukałem dokumenty, rzeczywiście było ich na 1700 rubli. To kolejny cud z nieba.

U dyrektora zwolniłem się na poniedziałek, bo po wymianę obligacji musiałem jechać do Czymkientu – województwa. Musiałem dojechać tam kolejką, a do najbliższej stacji było 60 km. W niedzielę rano wyjechałem autostopem, później do Taszkientu koleją 80 km. Okazało się, że na stacji biletów nie sprzedają, bo są tylko z miejscówkami, które trzeba zamawiać dzień wcześniej. Mój pociąg miał odjazd za półtora godziny. Prosiłem nachalnie w kasie, że ja muszę natychmiast wyjechać. Nic to nie pomagało, ktoś jednak usłyszał moje prośby to i podszedł do mnie. Pół szeptem podpowiedział, że przed wjazdem pociągu mam przejść na drugą stronę torów. Mam uważać na milicję, jak pociąg wjedzie mam stanąć na stopniach i pojadę wtedy za darmo. Tak też zrobiłem, ale takim pasażerem nie byłem tylko ja. Ludzie byli wyrozumiali wobec siebie, ktoś posunął się na wypełnionych stopniach i wskazał drabinę, która prowadziła na dach. Wszedłem, było tam już parę osób. Usiadłem, musiałem uważać na wiadukty. Na dworcach układaliśmy się na dachu, żeby z ziemi nie było nas widać. Wreszcie dojechałem do Taszkientu. W Taszkencie ta sama sytuacja. Pociąg do Czymkientu miał być za 3,5 godz., ale brakowało miejsc. Dostałem się ponownie na dach, dosiadł się Kazach ubrany w biały garnitur. Wyglądał na zamożnego, widocznie też nie mógł czekać na *kompasirówkę* (miejscówkę) i jechał na gapę. Po dwóch godzinach jazdy na dachu, dosiadło jeszcze dwóch krępych mężczyzn. Od razu zwrócili się do mego współtowarzysza podróży po rosyjsku „dawaj wyskakuj z ubrania i butów”. Zaczął się bronić, zszedł na stopnie wagonu i zaczął walić w drzwi, ale nikt nie reagował. W tym czasie oni zaczęli mnie rewidować. W torbie miałem kawałek chleba i wodę w butelce, na nogach rozlatujące się buty. Celowo się tak ubrałem, wiedziałem do czego ludzie są zdolni. Pod podkładką schowałem 80 rubli na podróż, jeden z nich szukał portfela, drugi zrewidował torbę. Nic nie znaleźli, źli zostawili mnie w spokoju. Siedziałem jak struś, nie reagowałem. Chwilę siedzieli koło mnie, mówili coś półgłosem, minęło jakieś 25 minut. Potem zeszli na stopnie. Mężczyzna w białym garniturze w panice zaczął uderzać pięścią w szybę, a nogą w drzwi, ale bez reakcji przebywających w wagonie. Pociąg

wjeżdżał do miasta zbliżał się do stacji, zobaczyłem jak jeden pięścią uderzył człowieka w brzuch, drugi po rękach. Nagle ten w białym garniturze puścił ręce i z krzykiem poleciał na ziemię, mignęła mi tylko biała postać. Wrócili ponownie na dach, skakali z wagonu na wagon. Pociąg zaczął hamować, a oni zapewne wrócili do zabitego człowieka, by go ograbić ze wszystkiego. To było wstrętne, byłem zszokowany, cały sparaliżowany strachem i obrzydzeniem nie mogłem się ruszyć z miejsca. Tak dojechałem do Czamkientu, gdy wysiadłem było już po trzeciej w nocy. Drżały mi nogi, w poczekalni przysiadłem się do koczujących pasażerów, czekających na *kompasirówkę* – bilety”. Czekałem do 6 rano, potem poszedłem do wojewódzkiego urzędu. Tam wypisano mi zlecenie do banku. Pobrałem pieniądze, teraz dopiero zacząłem się bać poruszać z tak dużą gotówką przy sobie. Wsiadłem w pierwszy nadjeżdżający trolejbus, przejechałem dwa przestanki i przed ruszeniem dalej, w ostatniej chwili wyskoczyłem. Oglądając się czy ktoś za mną nie wysiadł, uspokoiłem się, bo nikogo nie wiedziałem. Doszedłem do stacji, tam w klozecie pieniądze włożyłem do specjalnie uszytej kieszeni w dolnej części koszuli pod brzuchem. Musiałem się zabezpieczyć, aby nie stracić tego co dawało nam nadzieję na wyjazd do Polski.

Na stacji chciałem kupić bilet, ale usłyszałem jak zatrzymał się pociąg towarowy. Za chwilę zapowiedziano pociąg z Taszkientu. Pomyślałem, że towarowy przepuszcza osobowy i może za chwilę po przyjeździe tego ruszy w kierunku Taszkientu. Przeszedłem pod wagonami towarowego na drugą stronę, zauważyłem budkę hamulcową. Obejrzałem się czy ktoś nie idzie, wsiadłem do budki. Moje przepuszczenia potwierdziły się za 5 minut pociąg ruszył, ale dokąd nie wiedziałem. Zmierzał na szczęście dokładnie tam gdzie chciałem dotrzeć. Po 2 godzinach stanął na dużej stacji towarowej, wysiadłem i po przejściu 3 km dotarłem do dworca osobowego Taszkientu. Tutaj dostałem bilet docelowy z miejscówką, bo pociąg rozpoczynał tu bieg. Autostopem dostałem się do Pacht-Araku. Ciężarówki jeździły często, a kierowcy chętnie zabierali na pakę. Z góry trzeba było jednak zapłacić parę rubli. Przed zachodem słońca byłem już na miejscu. Do soboty uczęszczałem jeszcze na zajęcia, kończył się lipiec.

Któręś dnia zostałem wywołany z zajęć na korytarz. Jakiś nieznajomy poinformował mnie, że dowiedział się o naszym wyjeździe do Polski. Okazało się, że on też jedzie i ma zamówiony wagon towarowy na przejazd do granicy. Pomyślał, więc że gdybyśmy jechali razem to wyniesie nas to taniej. Wyjazd ma nastąpić 8 sierpnia, czyli za 11 dni. Ucieszyłem się, podziękowałem nieznajomemu i wyraziłem zgodę.

W domu zaczęliśmy pomału wszystko sprzedawać po obniżonych cenach. Ze szkoły nie zrezygnowałem, bo jeszcze chciałem uzyskać stypendium. 3 sierpnia pobrałem pieniądze, a czwartego z dokumentami zgłosiłem się do dyrektora z podaniem. Z oporem podpisał obiegówkę. Otrzymałem zaświadczenie, że od 1 października 1955 r. do 5 sierpnia 1956 r. uczęszczałem na kurs kombajnistów – traktorzysty, którego w związku z wyjazdem do Polski nie ukończyłem.

### **Polska**

W nocy 7 sierpnia 1956 roku kierowca kołchozowy w tajemnicy zawiózł nas na stację kolejową gdzie czekaliśmy na podstawienie wagonu towarowego do wieczora. Myśleliśmy z wielką obawą czy tak się stanie naprawdę. Nim jednak ruszyliśmy musieliśmy dodatkowo przemawiać do kieszeni zawiadowcy

stacji. Dopiero po wpłaceniu mu pewnej sumy, wszystko poszło szybciej. Po ujechaniu około 100 km odczepiono wagony i znowu staliśmy, aż „załatwiło się z zawiadowcą” przyśpieszenie.

Wyjechaliśmy z Kazachstanu 11 sierpnia 1956 r., a do granicy naszego państwa dotarliśmy 9 września 1956 r. Gdybyśmy jechali pociągiem pośpiesznym z Taszkientu do Moskwy tam czekając dobę na *kapasirówkę* – bilety z Moskwy do Wrocławia lub Legnicy zajęchaliśmy w ciągu 10 dni o połowę taniej. Od chwili oswobodzenia – wyzwolenia, nazywam to okupacją sowiecką 1939 r. – do momentu przyjazdu do Polski w 1956 r. Długi to okres, bo aż 17 lat. W tym czasie nasze życie uległo radykalnym zmianom i to na gorsze. Odbiło się na nas wszystkich i pozostawiło piętno. Moi rodzice na pewno marzyli o innym życiu dla swych dzieci. Stało się inaczej, to nie z ich winy.



Brześć – przy wagonie, którym przyjechaliśmy, wrzesień 1956 r.

Naszym całym dorobkiem, z jakim wjechaliśmy do kraju, była walizka z rzeczami i to, co mieliśmy na sobie. W Brześciu kupiliśmy zegarek „pobieda” za pozostałe ruble – utrwalone mamy to na zdjęciu. Na dworzec przyjechała nas przywitać rodzina z Wilna. Po przekroczeniu polskiej granicy dojechaliśmy do Białej Podlaskiej, od razu poczuliśmy bliskość. Wszędzie było słychać polską mowę, szyldy, napisy i nazwy urzędów wypisane w języku ojczystym.

W biurze obsługi repatriantów wypłacono nam na osobę po 1000 złotych polskimi banknotami. Kupując bilet do Wrocławia, a później do Międzyborza nie mogliśmy uwierzyć, że słyszymy rozmowy w ojczystym języku. Słyszymy naprawdę, to nie jest sen czy halucynacje, serce ścisnęło się, aż do bólu wreszcie jesteśmy w kraju. Przypomniały mi się słowa wypowiedziane w Wilnie, gdy byliśmy na Komendzie w czasie deportacji – „bóg nie opuści” spełniło się !

W Międzyborzu od razu ludzie wskazali nam gdzie znajduje się apteka. Z daleka przeczytaliśmy „Apteka – Julian Filemonowicz”. W budynku znajdowała się prywatna apteka, a na górze pięknie wyposażone mieszkanie. Łazienka cała w kafelkach i z ciepłą wodą. Pięknie zastawiony stół. Od miesiąca w ustach nie mieliśmy nic ciepłego. Spojrzałem w lustro, przed wyjazdem nowo kupione spodnie wisały na mnie jak na wieszaku, rękawy u koszuli zrobiły się za długie, a nic lepszego do przebrania nie było. Uczucie niesamowite, coś zapierało dech w piersiach, do oczu napływały łzy, poczuliśmy się jak nędzarze, choć wiem, że nie szata zdobi człowieka, w stosunku do pozostałych domowników. Nasi krewni nawet przez sekundę nie dali nam odczuć, że jesteśmy inni od nich. Czekali na nas i przyjęli z ogromną serdecznością.\*

---

\* Relację opracowała merytorycznie prof. dr hab. Maria Kalczyńska.